

Tomáš Halík

cierpliwość
wobec
Boga

spotkanie
wiary z niewiarą

Przekład
Andrzej Babuchowski

Wydawnictwo WAM ■ Księży Jezuici
Kraków 2011

Tytuł oryginału
VZDÁLENÝM NABLÍZKU
Vášeň a trpělivost v setkání víry s nevírou

© Tomáš Halík, 2007

© Wydawnictwo WAM, 2009

Redakcja
Katarzyna Stokłosa

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7505-368-5

Wznowienie 2011

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał, Kraków, 1 kwietnia 2009 r., l.dz. 164/09.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

SPIS TREŚCI

Prolog.....	7
Ewangelia o Zacheuszu	15
I. Przemówić do Zacheusza	17
II. Błogosławieni, którzy stoją z dala	27
III. Precz od wszystkich słońc	38
IV. Bosymi stopami	58
V. Spór o piękno Dulcynei z Toboso	78
VI. List	96
VII. Nieznany, zbyt bliski Bóg	113
VIII. Zwierciadło Wielkiej Nocy	125
IX. Czas zbierania kamieni	141
X. Czas uzdrowienia	160
XI. Święty Zacheusz	179
XII. Wieczny Zacheusz	188

PROLOG

Z ateistami zgadzam się w wielu sprawach, czasem niemal we wszystkim – z wyjątkiem ich wiary, że Bóg nie istnieje.

Na dzisiejszym barwnym i hałaśliwym rynku towarów religijnych mogę niekiedy ze swoją wiarą chrześcijańską wydawać się bliższy sceptycznemu i agnostycznemu krytykom religii niż temu wszystkiemu, co się tam oferuje. Z ateistami pewnego typu jestem w stanie podzielić ich poczucie Bożej nieobecności w świecie. Jednak ich wyjaśnienie owego poczucia uważam za zbyt pochopne – za przejaw niecierpliwości.

Mnie także doskwiera często Boże milczenie i ciężar Bożego oddalenia. Wiem, że ambiwalentny charakter świata i liczne paradoksy życiowe umożliwiają wyjaśnianie Bożego ukrycia również za pomocą zdań: „Zaden Bóg nie istnieje” czy „Bóg umarł”.

Znam jednak jeszcze inną interpretację, jeszcze inną możliwą postawę wobec „nieobecnego Boga”. Znam trzy – głęboko ze sobą związane – *sposoby cierpliwości* względem Bożej nieobecności. Nazywają się wiara, nadzieja, miłość.

Tak, główną różnicę między wiarą a ateizmem dostrzegam w cierpliwości. Ateizm i religijny fundamentalizm oraz entuzjazm zbyt łatwej wiary są uderzająco podobne do siebie w tym, jak szybko potrafią uporać się z tajemnicą, którą nazywamy Bogiem – i właśnie dlatego wszystkie te trzy postawy są dla mnie jednakowo nie do przyjęcia.

Z tajemnicą człowiek nigdy nie może się „uporać”. Tajemnicy – w odróżnieniu od problemu – nie można zdobyć; trzeba cierpliwie przebywać na jej progu i trwać w niej. Nosić ją – jak napisano w Ewangelii o Matce Jezusa – w sobie, w sercu; pozwolić jej tam dojrzewać i przez nią pozwolić dojrzewać sobie samemu.

Do wiary nie doprowadziłyby mnie również „dowody na istnienie Boga”, o których czytamy w wielu nabożnych książkach. Gdyby znaki Bożej obecności były aż tak banalnie osiągalne na samej powierzchni rzeczywistości, jak sądzą niektórzy religijni entuzjaści, wiara stałaby się niepotrzebna.

Owszem, istnieje także wiara tryskająca z prostej radości i oczarowania samym faktem, że świat jest, i sposobem, w jaki jest – wiara, którą pewnie możemy podejrzewać o naiwność, ale nie możemy zaprzeczyć jej szczerości i autentyczności. Ta jasna i radosna forma wiary często towarzyszy pierwszemu „zakochaniu” nawróconych lub nieoczekiwanie przebłykuje w podniosłych chwilach drogi życiowej, czasem nawet także na dnie bólu. Być może stanowi „przedsmak” owej godnej pozazdroszczenia wolności szczytowego etapu drogi duchowej, tej chwili ostatecznego przytaknięcia życiu i światu, opisywanej jako *via unitiva* czy *amor fati*, mistyczne zjednoczenie duszy z Bogiem lub jako rozumiejąca i radosna zgoda na własny los w znaczeniu słów Nietzschego z *Tako rzecze Zaratustra*: „Byłóż więc to – życiem? [...] Hejże więc! Jeszcze raz!”*.

Jestem jednak przekonany, że dojrzewanie do wiary wiąże się także z przyjęciem i przecierpieniem chwil – a niekiedy i długich okresów – gdy Bóg wydaje się daleki, gdy pozostaje w ukryciu. To, co jest oczywiste i dowodliwe, nie wymaga przecież wiary; wiary nie potrzebujemy w obliczu niepodważalnych faktów, dostępnych siłom naszego rozumu, wyobraźni czy doświadczenia zmysłowego. Wiara potrzebna jest właśnie w chwilach światłocienia, wieloznaczności życia i świata, a także na czas nocy i zimy Bożego milczenia. Jej zadanie nie polega na tym, by ugasiła nasze pragnienie pewności i bezpieczeństwa, lecz by *nauczyła nas żyć z tajemnicą*.

Wiara i nadzieja to przejawy naszej cierpliwości w takich właśnie okresach. Podobnie ma się rzecz z miłością: miłość bez cierpliwości nie jest prawdziwą miłością. Powiedziałbym, iż dotyczy to zarówno „miłości ziemskiej”, jak i „miłości do Boga”,

* Por. F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. W. Berent, Warszawa 1906.

gdybym nie wiedział, że miłość jest tylko jedna, niepodzielona i niepodzielna.

Wiara – podobnie jak miłość – wiąże się nierozzerwalnie z ufnością i wiernością. A sprawdzianem ufności i wierności jest cierpliwość.

Wiara, nadzieja i miłość są trzema aspektami naszej cierpliwości wobec Boga; trzema sposobami radzenia sobie z doświadczeniem Bożego milczenia. Proponują drogę całkiem odmienną zarówno od ateizmu, jak i od „łatwej wiary”. To jednak – w odróżnieniu od tamtych dwu wiodących często na skróty – droga rzeczywiście długa. Ta droga – podobnie jak *exodus* Izraela będący jej najdoskonalszym pierwowzorem – prowadzi również przez pustynię i ciemność. Istotnie, czasem gubimy gdzieś tę drogę – jej cechą jest nieustanne poszukiwanie, a niekiedy także błędzenie; czasem musimy zejść bardzo głęboko w przepaść, w ciemną dolinę, żeby ją znowu odnaleźć. Gdyby jednak nie wiodła tamtędy, nie byłaby drogą do Boga – Bóg nie mieszka na powierzchni.

Tradycyjna teologia twierdziła, że ludzki rozum jest w stanie o własnych siłach, poprzez refleksję nad światem stworzonym, dojść do przekonania, że Bóg istnieje – i z takim stwierdzeniem można się na pewno zgodzić. (Ściślej mówiąc: świat jest otwarty na możliwość takiej interpretacji, a rozum jest otwarty na możliwość dojścia do takiego wniosku, mimo że świat to rzeczywistość ambiwalentna, która nie zmusza do takiej interpretacji i teoretycznie dopuszcza także inny pogląd – bo jeśli coś leży „w możliwościach ludzkiego rozumu”, to jeszcze nie znaczy, że rozum każdego człowieka musi koniecznie z tej możliwości skorzystać). A jednak ta sama tradycyjna teologia równocześnie dobrze wiedziała i nauczała, że ludzkie przekonanie o istnieniu Boga jest czymś innym niż wiara. Ludzkie przekonanie należy do sfery „oczywistości”, podczas gdy wiara wykracza poza tę sferę, jest darem – „wlaną cnotą boską”. Wedle Tomasza z Akwinu wiara to dar łaski, która wlewa się w ludzki rozum i umożliwia przekroczenie jego naturalnej pojemności, umożliwia mu w pewien ograniczony sposób uczestnictwo w doskonałym poznaniu, przez które Bóg poznaje samego siebie. Mimo to pozostaje ogromna

różnica między poznaniem, które otwiera wiara towarzysząca nam w wędrówce przez półmrok naszego życia, a poznawaniem Boga twarzą w twarz, „błogosławionym wpatrywaniem się” (*visio beatifica*), które dostępne jest jedynie świętym w niebie – a więc także nam, jeśli tylko wykażemy cierpliwość i wierność w naszej pielgrzymiej wierze i tęsknocie, której w ciągu całego naszego życia, aż po próg wieczności, nie można w sposób doskonały ugasić.

Gdyby nasz stosunek do Boga oparty był na takim przekonaniu o Jego istnieniu, do którego można bezboleśnie dojść poprzez uczucie radości w obliczu harmonii wszechświata czy drogą intelektualnej refleksji nad łańcuchem przyczynowo-skutkowym, to stosunek ten nie byłby tym, co mam na myśli, mówiąc o wierze. Wiara wedle Ojców Kościoła jest promieniem, za którego pośrednictwem Bóg przenika w mroki ludzkiego życia; Bóg sam jest w nim w taki właśnie sposób, poprzez dotyk promienia swego światła, obecny, podobnie jak niezmiernie odległe słońce dotyka ziemi i naszego ciała swoim blaskiem. Jednak i nasze życie z Bogiem również miewa chwile zaćmienia.

Trudno ocenić, czy na tym etapie dziejów, który przeżyliśmy i przeżywamy, więcej jest owych chwil zaćmienia, niż było w przeszłości, czy tylko więcej wiemy na ich temat i jesteśmy na nie bardziej wyczuleni. Podobnie trudno rozstrzygnąć, czy ciemne stany duszy, strach i smutek – na które cierpi tylu ludzi naszej cywilizacji i którym nadajemy dziś nazwy z zakresu medycyny klinicznej, próbującej swoimi metodami i ze swojej perspektywy badać je i usuwać – są dziś z wielu powodów liczniejsze niż w przeszłości, czy też poprzednie cywilizacje ze względu na własne kłopoty poświęcały im mniej uwagi albo miały inne – być może bardziej skuteczne – sposoby ich rozpoznawania i radzenia sobie z nimi.

Owe chwile ciemności, chaosu i absurdu, wypadnięcia z bezpiecznej przestrzeni sensownego ładu jako żywo przypominają to, co prorokował Nietzsche ustami „człowieka oszalałego”, który przyniósł wiadomość o śmierci Boga: „Dokąd my zdążamy? Precz od wszystkich słońc? Nie spadamyż ustawicznie? I w tył,

i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach? Jestże jeszcze jakieś na dole i w górze? Czyż nie błądzimy jakby w jakiejś nieskończonej nicości? Czyż nie owiewa nas pusty przestwór?***.

Takie chwile „precz od wszystkich słońc” – które na wielkiej scenie dziejów oznaczamy symbolami „Auschwitz”, „Gułag”, „Hiroszima”, „11 września” czy „cywilizacja śmierci”, a na codziennej płaszczyźnie jednostkowych losów słowami depresja lub kryzys (kryzys psychiczny, kryzys rodziny itd.) – stają się dla wielu „skałą ateizmu”. Są powodem ich przeświadczenia, że – mówiąc słowami Szekspirowskiego Makbeta – „życie jest [...] powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, nic nieznaczącą”**, a chaos i absurd mają w nim pierwsze i ostatnie słowo. A przecież nie brak ludzi – także autor tej książki zalicza się do nich – dla których właśnie przeżycie Bożego milczenia, Bożego ukrycia w tym świecie stanowi punkt wyjścia i jedno z podstawowych doświadczeń ich wiary.

Mało co tak bardzo wskazuje na Boga i tak natarczywie woła o Boga, jak właśnie przeżycie Jego nieobecności. Przeżycie to może jednych prowadzić do „oskarżenia Boga”, które kończy się odrzuceniem wiary. Istnieje jednak – zwłaszcza w tradycji mistyków – szereg interpretacji tej nieobecności, innych sposobów radzenia sobie z nią. Bez bolesnego doświadczenia „świata, w którym brak Boga”, trudno zrozumieć sens religijnych poszukiwań i tego wszystkiego, co chcemy powiedzieć o „cierpliwości wobec Boga” i jej trzech aspektach – wierze, nadziei i miłości.

Jestem przekonany, że dojrzała wiara musi zawrzeć w sobie – ale także wewnętrznie przetworzyć i uczciwie, a nie powierzchownie i łatwo, przejść i przezwyciężyć – te doświadczenia z Bogiem i ze światem, które przez jednych określane są patetycznym zwrotem „śmierć Boga”, podczas gdy inni nazywają to „Bożym milczeniem” i „nocą wiary”. Nie mówię ateistom, że nie mają racji, ale że brak im cierpliwości; twierdzę, że ich prawda jest *prawdą niedopowiedzianą*.

* F. Nietzsche, *Wiedza radosna*, tłum. L. Staff, Warszawa 1907, s. 168.

** Por. W. Szekspir, *Makbet*, tłum. J. Paszkowski, Wrocław 1957.

Hans Urs von Balthasar lubił posługiwać się zwrotem „ograbieć Egipcjan”, kiedy chciał wyrazić dążenie chrześcijan do przyswojenia sobie z „kultury pogańskiej” tego, co najlepsze, podobnie jak Izraelici, wychodząc z Egiptu, wzięli od Egipcjan ich srebro i złoto. Tak, przyznaję, że nie chciałbym, aby chrześcijaństwo, zanim stary ateizm europejskiej moderny przykryje fala zapomnienia, nie wydobyci dla siebie i nie pozostawiło sobie tego, co w ateizmie było złote, szczerze i prawdziwe – choćby to miała być niedopowiedziana prawda*.

Trzeba jednak od razu zaznaczyć, że także „nasza prawda”, prawda wiary jest tu, na ziemi, w pewnym sensie „niedopowiedziana”, ponieważ w swej najgłębszej istocie pozostaje otwarta na Tajemnicę, która w całej pełni objawi się dopiero na końcu wieków. Dlatego musimy przezwyciężyć pokusę zadufanego triumfalizmu, ponieważ mamy sobie, zarówno z „niewierzącymi”, jak i z wierzącymi, wiele do powiedzenia, i my także powinniśmy słuchać i uczyć się. Byłoby karygodnym zaniedbaniem, gdyby chrześcijaństwo nie wyciągnęło korzyści z faktu, że – jak żadna inna religia – przeszło w okresie moderny przez ogień oczyszczającej krytyki ateistycznej; takim samym nieszczęściem byłaby ucieczka przed wejściem do tego hutniczego pieca, oznaczająca rezygnację z wiary i nadziei, która powinna być poddawana próbie i przetapiana. Nie powinniśmy – pouczeni przez Apostoła Pawła – prosić, aby ciało chrześcijaństwa zostało pozbawione owego ościenia, lecz oścień ateizmu powinien stale wybudzać naszą wiarę z błęgiego spokoju fałszywych pewników ku większemu zaufaniu do mocy łaski, która najpełniej przejawia się właśnie w naszej słabości (por. 2 Kor 12, 7-10).

Również ateizm może być pomocny w „przygotowaniu dróg Pańskich”, może nam pomóc oczyścić naszą wiarę z „religijnych iluzji”. Nie można mu jednak pozostawiać ostatniego słowa, jak czynią to ludzie niecierpliwi. Także w chwilach wielkiego

* Analogicznie – i zasadnie – pisze postmodernistyczny filozof Slavoj Žižek: „Autentyczne dziedzictwo chrześcijańskie jest zbyt cenne, żeby je pozostawiać w rękach fundamentalistycznych dziwaków”; S. Žižek, *The Fragile Absolute*, London – New York 2001, s. 2.

zmęczenia powinniśmy być przygotowani na poselstwo podobne do tego, które prorokowi Eliaszowi przyniósł anioł podczas jego wędrówki na górę Horeb: Wstań, masz jeszcze długą drogę przed sobą! (por. 1 Krl 19, 7).

* * *

Z trudem można by znaleźć na naszej planecie dwa miejsca tak całkowicie do siebie niepodobne jak to, w którym zrodził się impuls do napisania niniejszej książki, i to, gdzie w końcu powstał jej rękopis. Prawie całą tę książkę pisałem w czasie letnich wakacji, podobnie jak pięć poprzednich, w głębokiej ciszy i absolutnej samotności niedaleko pewnego klasztoru kontemplacyjnego w Nadrenii. Pomysł wszakże zrodził się mroźnym zimowym popołudniem na jednej z najruchliwszych ulic świata, nowojorskim Broadwayu, na jednym z najwyższych pięter wieżowca należącego do wydawnictwa Bertelsmann-Doubleday, w miejscu z fascynującym widokiem na ośnieżone dachy Manhattanu.

Kiedy zawierałem z pracownikami wydawnictwa umowę na angielskie wydanie *Nocy spowiednika*, Billa Berry'ego zainteresował tytuł innej mojej książki, zbioru kazań *Przemówić do Zacheusza*. A kiedy wyjaśniłem mu, dlaczego jako motta do tej książki użyłem akurat opowieści o Zacheuszu, namówił mnie, abym „motyw Zacheusza” rozszerzył jeszcze w nowej, odrębnej książce, podobnie jak to uczynił Henri Nouwen ze swoim znanym esejem poświęconym innemu motywowi biblijnemu – powrotowi syna marnotrawnego.

Poprosiłem o kilka dni do namysłu i jeszcze przez chwilę włożyłem się po ruchliwych bulwarach Manhattanu. A potem na Piątej Avenue wstąpiłem do katedry św. Patryka, owej świątyni ciszy w żywo pulsującym sercu amerykańskiej metropolii – i tam postanowiłem, że podejmę to wyzwanie.

Billowi Berry'emu i mojej literackiej agentce Marly Rusoff chciałyby raz jeszcze podziękować za tamtą inspirującą rozmowę, a ojcom z klasztoru w dolinie Renu za ich życzliwość, dyskretną gościnność oraz za modlitwy, które towarzyszyły mi – także

ze strony moich przyjaciół i osób najbliższych – podczas tygodni rozmyślań i pracy nad niniejszą książką.

Moich czeskich czytelników i krytyków proszę o zrozumienie, że książka ta była pisana pierwotnie dla świata anglojęzycznego, dla tych, którzy nie znają moich poprzednich książek – dlatego musiałem powtórzyć pewne zawarte w nich myśli; moje rozważania bowiem bezpośrednio do nich nawiązują i rozwijają je. Kierowałem się słowami ewangelii o ojcu rodziny, który ze swego majątku wydobywa rzeczy nowe i stare (por. Mt 13, 52).

Kiedy na prośbę mojego czeskiego wydawcy – wydawnictwa Lidové noviny – postanowiłem przedłożyć mój rękopis także rodzimemu środowisku, zrobiłem to – po długim wahaniu – w pełnym rozmiarze, tj. łącznie z kilkoma fragmentami, które uważnym czytelnikom moich wcześniejszych książek słusznie mogą wydać się powtórzeniem. Fragmenty te bowiem stanowią nieodłączną część konstrukcji niniejszej książki – jestem jednak przekonany (choć wiem, że pogląd autora na własną pracę nie jest najistotniejszy), iż wszystko, co do tej pory powiedziałem w swoich poprzednich książkach, było jedynie „zbieraniem kamieni” pod gmach, który zaczynam budować tą właśnie książką. Do pewnych spraw powracam (w pierwszej części pierwszego rozdziału w niektórych miejscach niemal dosłownie), ale równocześnie wyruszam na nowe drogi. Cieszę się, że będziemy kroczyć po nich wspólnie.

EWANGELIA O ZACHEUSZU

Potem wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A pewien człowiek, imieniem Zacheusz, który był zwierchnikiem celników i był bardzo bogaty, chciał koniecznie zobaczyć Jezusa, któż to jest, ale sam nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzął w górę i rzekł do niego: „Zacheuszu, zjedź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu”. Zszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy, widząc to, szemrali: „Do grzesznika poszedł w gościnę”. Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogoś w czymś skrzywdziłem, zwracam poczwórnice”. Na to Jezus rzekł do niego: „Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł odszukać i zbawić to, co zginęło”.

(Łk 19, 1-10)

I. PRZEMÓWIĆ DO ZACHEUSZA

Był wczesny poranek i na ulicach Pragi leżał świeży śnieg. Wszystko było wówczas – w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych – jeszcze stosunkowo świeże. Kilka lat wcześniej w wyniku „aksamitnej rewolucji” upadł reżim komunistyczny wraz z monopolem władzy partyjnej i policyjnej i po kilkudziesięciu latach przywrócona została demokracja parlamentarna. Z wolności cieszył się także Kościół i uniwersytet. Również w moim życiu przewrót ten przyniósł wielkie zmiany: święcenia kapłańskie w latach siedemdziesiątych, w okresie trwającego już dziesiątki lat prześladowania Kościoła i religii, przyjąłem potajemnie, na obczyźnie – tak iż nawet moja matka, z którą mieszkalem, nie mogła wiedzieć, że jestem księdzem; przez jedenaście lat swoją posługę kapłańską pełniłem „nielegalnie”, w „Kościele podziemnym”. Teraz mogłem więc jako ksiądz działać wreszcie publicznie, otwarcie, bez jakiegokolwiek ryzyka czy represji, w nowo powstałej parafii uniwersyteckiej w sercu starej Pragi. Po wielu latach, w czasie których musiałem wykładać filozofię na tajnych kompletach w prywatnych mieszkaniach w ramach tzw. latającego uniwersytetu, publikować wyłącznie w samizdacie, mogłem powrócić na uniwersytet, pisać dla prasy i wydawać książki.

Jednak tego zimowego poranka swoich kroków nie skierowałem do kościoła ani na uniwersytet, lecz do budynku parlamentu. Nowością tamtego czasu był także wprowadzony kilka lat wcześniej zwyczaj zapraszania do parlamentu raz w roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, osoby duchownej, przedstawiciela jednego z Kościołów chrześcijańskich, aby wygłosił dla zebranych tam posłów i senatorów krótką medytację przed ostatnim posiedzeniem, poprzedzającym ferie świąteczne.

Tak, wszystko było jeszcze stosunkowo świeże i pachniało odzyskaną wolnością. Ale od „aksamitnej rewolucji” upłynęło już kilka lat, pierwsze fale euforii i upojny zawrót głowy z powodu nowo otwartych przestrzeni mijał, początkowe złudzenia gdzieś się rozprysły, a w życiu publicznym pojawiły się rozmaite, dotychczas nieprzeczuwane problemy i komplikacje. Do życia społecznego przenikało coś, co psychiatrzy nazywają „agorafobią”, ściślej: strachem przed wolnym rynkiem. Na rynku towarów i idei znalazło się nagle pod ręką niemal wszystko, czego dusza zapagnie – jednak wielu ludzi właśnie z powodu owej bogatej oferty oraz konieczności dokonania z niej wyboru było zdezorientowanych i niepewnych. Niektórych ta nieoczekiwana powódź barw przyprawiła o ból głowy i chwilami tęsknili nawet za czarno-białym – w rzeczywistości jednak nudnym i męcząco szarym – światem dnia wczorajszego.

Na zakończenie mojego przemówienia w parlamencie – do posłów i senatorów, z których większość prawdopodobnie nie miała nigdy w ręce Biblii – przypomniałem scenę z Ewangelii św. Łukasza: Jezus przechodzi w Jerychu pośród tłumów i nagle zwraca się do czołowego celnika, który obserwował Go ukryty w gałęziach sykomory*.

Następnie porównałem to zdarzenie z postawą chrześcijan w naszym kraju. Kiedy wraz z upadkiem komunizmu uczniowie Chrystusa wznowili po długim czasie publiczną działalność, wszędzie widzieli wokół siebie mnóstwo ludzi bijących im brawo; wśród nich było też może trochę takich, którzy wcześniej wygrażali im pięściami. Nie zauważyli chyba jednak, że *pobliskie drzewa były pełne Zacheuszów*. Tych, którzy nie chcieli czy nie mogli wmieszać się w tłum starych lub całkiem nowych wiernych, chociaż nie byli obojętni ani wrogo nastawieni. Owi Zacheusze, ludzie poszukujący i pełni ciekawości, chcieli równocześnie *zachować dystans i obserwować wszystko z lotu ptaka*; ta dziwna mieszanina pytań i oczekiwań, zainteresowania i nieśmiałości,

* W niektórych tłumaczeniach pojawia się drzewo morwowe.

a czasem może nawet poczucia winy i jakiejś „niestosowności” trzymała ich za zasłoną liści sykomory.

Jezus do Zacheusza *przemówił po imieniu*, zachęcił go, by wyszedł z ukrycia. Zaskoczył go zamiarem przyścia pod jego dach; choć musiał się liczyć z tym, że natychmiast będzie za to obmawiany i krytykowany: *Do grzesznika poszedł w gościnę!*

Wprawdzie nie ma wzmianki o tym, by Zacheusz kiedykolwiek zaliczony został w poczet uczniów Jezusa, by poszedł za Nim jak jego kolega Mateusz, jak wybranych Dwunastu czy tłumy innych mężczyzn i kobiet. Wiemy natomiast, że postanowił zmienić swoje życie i że *zbawienie stało się udziałem jego domu*. Kościoły naszych czasów nie potrafiły jednak przemówić w taki sposób do swoich Zacheuszów.

Przestrzegałem polityków przed tym, by coś podobnego nie dokonało się także na płaszczyźnie obywatelskiej i politycznej. Wielu ludzi patrzyło wprawdzie na nowe początki demokracji w naszym kraju – być może po okresie pierwszej ogólnej euforii – z pewnym zainteresowaniem i swego rodzaju tęsknotą, ale z różnych powodów także z rezerwą i wahaniem. Być może wielu z nich podświadomie oczekiwało chwili, kiedy rzeczywiście coś czy ktoś do nich przemówi, zawezwie ich. Ilu polityków, zajętych organizowaniem swego elektoratu lub sporem z przeciwnikami, gotowych było zrozumieć owych *Zacheuszów*, spojrzeć na nich ze szczerym zainteresowaniem i szacunkiem, „przemówić do nich po imieniu”, porozmawiać z nimi, zbliżyć się do nich? Może więc także z powodu tego zaniedbania wielu „celników” nie zmieniło swojego życia, wiele krzywd nie zostało naprawionych, wiele oczekiwań spełzło na niczym.

Zacheusz może się wydawać niepoprawnym indywidualistą, niemożliwym do „zaszufladkowania” – tam, gdzie ludzie ochocho przyłączają się do rozentuzjasmowanych lub rozgniewanych tłumów, on instynktownie szuka miejsca, by ukryć się w gałęziach sykomory. Nie robi tego z powodu pychy, jakby się mogło wydawać, przecież ma świadomość swego „małego wzrostu” i wielkich słabości, wie, że nie potrafi sprostać absolutnym wartościom i wyzwaniom. Swoją prywatność, dystans i spojrzenie

z lotu ptaka potrafi i skłonny jest porzucić tylko wtedy, gdy ktoś do niego „przemówi po imieniu” – wtedy może się zdarzyć, że nagle przyjmie również owe absolutne wymagania i zmieni swoje życie. Przemówić do Zacheusza może jednak tylko ten, dla kogo ów człowiek ukryty w gałęziach sykomory nie jest kimś obcym i nieznanym; ten, kto nim nie pogardza i komu nie jest obojętny; ten, dla kogo nie jest dalekie także to, co dzieje się w jego myśli i sercu.

Zacheuszów jest wśród nas niemało – los naszego świata, Kościoła i społeczeństwa zależy być może, bardziej niż skłonni jesteśmy przypuszczać, także od tego, czy Zacheusze zostaną pozyskani, czy nie.

* * *

Skończyłem swoją przemowę, ale opowieść o Zacheuszu nie dawała mi spokoju. Włączyłem się po przedświątecznej Pradze, starając się zrozumieć, dlaczego właśnie ten fragment z Ewangelii św. Łukasza urzekł mnie tak bardzo, że nie mogłem przestać o nim myśleć. I nagle uświadomiłem sobie, że właśnie ta opowieść może mi pomóc głębiej i jaśniej pojąć to, co od dawna czułem podświadomie jako swoje własne osobiste zadanie i misję.

W kapłańskiej pracy duszpasterskiej – ale także w innych dziedzinach swojej działalności, w swoich książkach i artykułach, na uniwersytecie i w mediach – nie stawiam sobie za cel „nawracania nawróconych”, troski o porządne owoce w stadzie ani też prowadzenia polemik i sporów z przeciwnikami. Nie sądzę, żeby moim głównym zadaniem miała być klasyczna „misja”, jeśli pod tą nazwą kryje się chęć pozyskiwania jak największej liczby ludzi dla własnej, kościelnej czy politycznej, wspólnoty. Czuję, że jestem tu przede wszystkim po to, by proponować rozumiejącą bliskość tym, którzy mają opory przed włączeniem się w szeregi rozradowanych tłumów i pod rozwinięte sztandary jakichkolwiek barw; tym, *którzy zachowują dystans*.

Lubię Zacheuszów; myślę, że posiadam dar ich rozumienia. Ludzie często tłumaczą sobie ów dystans jako przejaw ich

„wyniosłości”, ale chyba są w błędzie – sprawa nie wygląda tak prosto. Moje doświadczenie mówi, że chodzi tu raczej o jakiś rodzaj zażenowania. U niektórych niechęć do tłumów oraz hasel i sztandarów bierze się z przeświadczenia, że prawda jest zbyt krucha, by można ją było skandować na ulicach.

W końcu ludzie ci swojego miejsca „na obrzeżach” nie wybrali bez powodu. Być może trzymają się na uboczu także dlatego, iż – podobnie jak Zacheusz – dobrze wiedzą, że sami nie posprząтали jeszcze przed własnym domem; wiedzą lub raczej wyczuwają, że to i owo muszą jeszcze zmienić we własnym życiu. Być może w odróżnieniu od owego nieszczęśnika z Jezusowej przypowieści zdają sobie dobrze sprawę, że nie przywdziali jeszcze szaty godowej, by móc bezceremonialnie zasiąść w pierwszych rzędach szacownych gości na ucztę weselnej (por. Mt 22, 11-14). Wciąż jeszcze są w drodze, przyprószeni pyłem, daleko od celu, zbyt „niegotowi”, by móc pokazać się innym w pełnym świetle; być może nawet ich życiowa wędrówka znalazła się akurat w ślepej uliczce.

Mimo to zdają sobie sprawę z doniosłości chwili, w której to, co istotne, przechodzi obok nich. Pociąga ich to – jak Zacheusza, który pragnął zobaczyć Jezusa; czasami jednak swoją duchową tęsknotę i pragnienie tak jak on zakrywają liśćmi sykomory – przed innymi, a niekiedy i przed samym sobą.

* * *

Przemówić do Zacheusza może tylko ten, kto „zna jego imię” – zna jego tajemnicę. Ten, komu taki typ człowieka nie jest obcy, kto potrafi wczuć się w skomplikowane przyczyny jego nieśmiałości. Do Zacheuszów dzisiejszej epoki może się tak naprawdę przybliżyć tylko ten, kto sam był i w pewnym stopniu nadal pozostaje Zacheuszem. Ludzie, którzy najlepiej czują się pośród rozradowanego tłumu, z trudem rozumieją Zacheusza.

Kiedyś na stacji praskiego metra zobaczyłem wypisane na murze zdanie: „Jezus jest odpowiedzią!”, które prawdopodobnie przed chwilą utrwalił ktoś, kto pełen zachwyty wracał z radosnego

zgromadzenia ewangelikalnego. Ktoś inny dopisał jednak do tej deklaracji: „Ale jakie było pytanie?”. Przypomniało mi się wtedy powiedzenie filozofa Erica Voegelina: największy problem dzisiejszych chrześcijan nie polega na tym, że nie znają właściwych odpowiedzi, ale że zapomnieli o pytaniach, które zostały postawione i ku którym owe odpowiedzi zmierzały.

Odpowiedzi bez pytań – bez tych, które je pierwotnie sprowokowały, ale i bez kolejnych, które wywołują każdą następną odpowiedź – są jak drzewa bez korzeni. Jakże często „prawdy chrześcijańskie” przedkładane są nam jak ścięte, martwe już drzewa, w których nie mogą zagnieździć się żadne ptaki! (Młody profesor Joseph Ratzinger, komentując kiedyś przypowieść o królestwie Bożym jako drzewie, w którego koronie gnieźdzą się ptaki – nie wiem, na ile dzisiaj podpisałby się pod tą wypowiedzią swoim papieskim piórem i opatrzył ją „pieczęcią rybaka” – zauważył, że Kościół zaczyna niebezpiecznie przypominać drzewo z uschniętymi gałęziami, na którym często siadają nieco dziwne ptaki).

Dopiero połączenie pytań i odpowiedzi przywraca naszym opiniom rzeczywisty sens i życiową dynamikę: *prawda dzieje się w dialogu*. Odpowiedzi stanowią pokusę zakończenia procesu naszego poszukiwania, jak gdyby przedmiotem rozmowy był *problem* – który już został rozwiązany. Ale i przy kolejnym pytaniu prześwieca niewyczerpana głębia *tajemnicy*. Powtarzajmy wciąż od nowa: w wierze nie chodzi o problemy, lecz o *tajemnicę*, i dlatego nie wolno nam nigdy schodzić z drogi szukania i stawiania pytań. Tak, nasza droga tropem Zacheusza oznacza często drogę prowadzącą od problemów do tajemnicy, od pozornie ostatecznych odpowiedzi z powrotem do pytań.

* * *

Paweł, „trzynasty Apostoł”, który najbardziej przyczynił się do upowszechnienia Ewangelii, napisał: *Stalem się wszystkim dla wszystkich* (1 Kor 9, 22). Być może w dzisiejszych czasach najskuteczniej będziemy proponować bliskość Chrystusa wtedy, gdy jako Jego uczniowie staniemy się *ludźmi, którzy szukają*

z szukającymi i pytają z pytającymi. Ludzi głoszących, że już są u celu, i oferujących gotowe, ale często zbyt łatwe odpowiedzi, jest nadmiar – niestety także wśród tych, którzy powołują się na imię Jezusa. Być może Tego, w którego uwierzyliśmy, przybliżymy Zacheuszom naszych czasów właśnie przez to, że staniemy się im bliżsi *na sposób Jezusowy*, gdy będą „wychylać się spo między liści”.

Kiedyś wpadła mi w ręce publikacja pewnego biskupa, nosząca podtytuł „Książka dla poszukujących i wątpiących”, po którą sięgnąłem z zaciekawieniem, ponieważ znam osobiście i lubię jej autora. Po kilku stronach stwierdziłem jednak, że podtytuł – niezależnie od tego, czy pochodził od autora, czy od rzutkiego wydawcy – jest jedynie chwytem reklamowym. Ton całej książki zdradzał, że autor traktuje poszukujących z pozycji kogoś, kto już znalazł, a wątpiących z pozycji kogoś, kto chce i potrafi przemienić ich wątpliwości w pewność.

Postanowiłem więc pisać książki innego rodzaju – jako ktoś, kto wątpi z wątpiącymi i poszukuje z poszukującymi. I już wkrótce miałem poczucie, że Pan ten zamiar naprawdę przyjął, a nawet potraktował go jeszcze poważniej niż ja sam w momencie, gdy taka myśl przyszła mi do głowy. Żeby praca moja nie była jedynie grą pozorów, Bóg postanowił wstrząsnąć wieloma religijnymi pewnikami, które w tamtym czasie uznawałem. Ale też dzięki temu przygotował dla mnie niezwykle zaskakujący i cenny dar: właśnie w owym „wylomie”, w chwili, gdy zadrzały i runęły wspomniane pewniki, właśnie poprzez tę „dziurę w dachu”, w kotłowaniu pytań i wątpliwości ukazał mi swoje oblicze, jakiego nigdy wcześniej nie znałem.

Zrozumiałem, że „spotkanie z Bogiem”, nawrócenie, przyjęcie z wiarą tego, w jaki sposób Bóg się objawia, a Kościół to objawienie przedkłada, nie jest końcem drogi. Wiara jest „kontynuacją”, przypomina na tym świecie nigdy niekończącą się drogę. Prawdziwe poszukiwanie religijne w naszym życiu tu, na ziemi, nigdy nie może zakończyć się tak, jak kończy się udane poszukiwanie jakiegoś przedmiotu, to znaczy – jego znalezieniem i posiadaniem; nie zmierza bowiem do żadnego przedmiotowego

celu, lecz do serca Tajemnicy, która jest niewyczerpana, która nie ma dna.

Droga do dzisiejszych Zacheuszów, ludzi na obrzeżach – często na obrzeżach lub poza widzialnymi granicami Kościoła, w strefie pytań i wątpliwości, w tej niezwyklej krainie pomiędzy dwoma okopującymi się obozami „dobrze zorientowanych” (czyli pewnych siebie wierzących i pewnych siebie ateistów) – pomogła mi zrozumieć wiarę i Tego, do którego wiara się odnosi, na nowo, z innej perspektywy.

* * *

Ponieważ jesteśmy uczniami Chrystusa, chcemy, aby On był tym, z kim spotykają się Zacheusze naszych czasów. Ja także stale – pracując nad tą książką, jestem przecież kapłanem – zadaję sobie pytanie, co to właściwie znaczy, przybliżyć dziś kogoś do Chrystusa, a przez Chrystusa do Boga. Nie sądzę, żeby to było takie proste, jak się niektórym chrześcijańskim entuzjastom wydaje. Ksiądz nie może stać się agitatorom, propagatorem, człowiekiem prostych haseł i sprytnej manipulacji innymi; jego rolą jest raczej cierpliwe – z wielkim szacunkiem dla każdego człowieka – towarzyszenie innym, „ofiarowanie się” im, podprowadzanie do bram tajemnicy, a nie „pozyskiwanie” w stylu, w jaki politycy czy handlowcy wzbudzają zainteresowanie swoim najnowszym towarem.

Musi to bowiem uwidaczniać się także w naszym sposobie przemawiania do innych, musi to być słyszalne i rozpoznawalne już w stylu naszej mowy, naszego języka. Przecież nasz język jest owocem tego, co czuje nasze serce. Jeśli nasza mowa nie jest czczą gadaniną, bezduszną produkcją zdań, to już przez to samo staje się działaniem, które może wywołać wiele dobrego lub złego. W tym sensie również naszej mowy dotyczy stwierdzenie „po owocach poznacie ich”.

Być może nastał czas, kiedy wiele „pobożnych słów” nie musi i nie powinno pojawiać się na naszych ustach i na naszych sztandarach. Słowa te wskutek ich ciągłego, czasami zbyt

lekkomyślnego używania, spowszedniały, stępiły się, straciły swoje znaczenie i wagę, stały się puste, zbyt lekkie i łatwe. Inne zaś zrobiły się ciężkie, skostniały, zardzewiały, stały się zbyt nieporadne, by móc wyrazić przesłanie Ewangelii, radosnej nowiny. Niektóre pobożne słowa brzmią już dzisiaj jak pęknięty bębenek, nie mogą wyśpiewać Bożej chwały – „nie potrafią tańczyć”, jak tego oczekiwał Nietzsche od Boga, w którego nie mógł uwierzyć. Nietzsche, potomek rodu pastorów, bezlitośnie diagnozował w naszych kazaniach obecność „ducha ciężkości”, zwłaszcza tzw. moralizny, czyli trucizny pesymistycznego, zapyziałego moralizatorstwa. Ta zarozumiale posępna *falszywa powaga* – swoim wyzuciem z humoru i spontaniczności zdradzająca brak wewnętrznej swobody – przypomina mi zawsze córkę Saula, Mikal, która pogardza królem Dawidem, kiedy ten tańczy przed arką; w końcu, podobnie jak ona, ten rodzaj pobożności ukarany zostaje bezpłodnością.

Jednak taniec Dawida przed arką był czymś zupełnie innym niż efekciarskie numery zawodowych zabawiaczy we współczesnych religijnych cyrkach. Pamiętam, jak po raz pierwszy oglądałem megashow ewangelikalnych kaznodziejów w amerykańskiej telewizji, mając przez długi czas nadzieję, że jest to tylko humorystyczna scenka, w której komicy przedrzeźniają religię; nie chciało mi się wierzyć, że ktoś naprawdę myśli poważnie, iż można z tak wulgarną oczywistością mówić o Bogu, propagując Ewangelię jak jakąś solidnie działającą markę samochodów. Duchowa radość została tam zamieniona na jej łatwy substytut, *rozrywkę* – kicz odpowiadający gustom bezmyślnych konsumentów dzisiejszego masowego „przemysłu rozrywkowego”. Jest rzeczą doprawdy smutną obserwować, jak ci, którzy mają być prorokami, stają się żalonymi klaunami.

Prorok powinien być człowiekiem prawdy. Prawda Ewangelii nie jest jednak tożsama z prawdą teorii naukowej (w takim sensie, w jakim pojmowali i pojmują prawdę wyznawcy scjentyzmu i pozytywizmu). Nie da się jej ująć w definicje i bezdyskusyjne zamknięte systemy. Jezus na wieki złączył ze sobą trzy pojęcia – prawdę, drogę i życie. Prawda, podobnie jak droga i życie,

znajduje się w nieustannym ruchu, podlega procesowi, chociaż procesu tego nie można rozumieć jako rozwoju i postępu. Biblia wprowadza nas w prawdę nie za pomocą definicji i systemów teoretycznych, ale drogą wydarzeń, wielkich i małych dramatów – takich jak opowieść o Zacheuszu i tysiące innych. Wydarzenia biblijne interpretujemy najlepiej, *wchodząc w owe wydarzenia*, pozwalając się wciągnąć w poszczególne dramaty – choćby tak, jak uczestnicy dramatów religijnych starożytnej Grecji – i przeżywając w nich *katharsis*, własną przemianę.

Jeśli chcemy dziś znowu mówić o sprawach Bożych, musimy niektóre słowa uzdrowić i wskrzesić, ponieważ wyczerpały się już balasty różnych znaczeń, które ludzie przez stulecia im przypisują. Nasuwają mi się tutaj słowa starego kościelnego hymnu, natarczywej prośby do Ducha Bożego: *Ogrzej, co wyzięble, zroś, co schnie w upale, wróć zdrowiu, co chore, porusz, co zdrewniałe*. I jeszcze jedną prośbę muszę do tego dołączyć: Przybliż, co odległe!